Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 4.

dnia 26. Grudnia 1880.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*"

TOM I.

Errare humanum est

ROZDZIAŁ IV.

OSTATNI Z GOZDAWITÓW.

(*C. d.*) W dniu rozpoczęcia naszego opowiadania, o trzysta mil od Ludaczowa, w ogrodzie tuljeryjskim, w Paryżu, siedziało wieczorem na ławce pod kasztanem kilku młodych ludzi. Wszyscy byli Polacy. Między nimi wyszczególniał się mężczyzna dwudziestosześcioletni, słuszny brunet, z ciemnym zarostem dokoła smagłej twarzy, którego Ryszardem nazywali. Ubiór na nim był staranny, chociaż skromny, organ głosu przyjemny, zachowanie się ujmujące. Gdy mówił, łagodnie się uśmiechał, co u niego było wdziękiem naturalnym, a ilekroć zapatrzył się przed siebie, na czole wyniosłem, które było odkryte, tworzyły się dwie bruzdy zamyślenia, w oczach zaś robiła się taka głębia, że rozmawiający mimowoli ucinali, aby głosami swemi nie mącić jego zadumy. Był to instynktowy szacunek dla wyższości tego człowieka.

Między siedzącymi, z ubioru i wyglądania tylko jeden był do Ryszarda podobny; inni, po większej części starsi od tych dwóch, mieli na sobie bluzy robotników i ręce czarne, spracowane.

Gdy na zegarze najbliższym ósma wybiła, wszyscy w bluzach powstali i jeden z nich przemówił.

— Więc nieodwołalnie jeszcze dziś w nocy jedziesz Ryszardzie?

— Nieodwołalnie... Czas do kraju wracać i dla niego pracować.

— Szczęśliwyś! Tobie w Galicji będzie dobrze, ale nam!...

— Może Bóg da, że się tam wszyscy zobaczymy. Rząd austrjacki jest dziś tak liberalny, że żadnemu z was przytułku nie odmówi, a co do pracy, zdaje mi się, że o nią trudno nie będzie.

— Daj Boże, żeby się sprawdziły twoje słowa i żebyśmy się jak najprędzej zobaczyli. Jak tylko przekonasz się, że wrócić możemy, napisz, a do ośmiu dni jesteśmy wszyscy w Galicji.

— Możecie na mnie liczyć jak na Zawiszę — Ryszard odpowiedział.

— Ktoby o tobie wątpił, mój drogi! Teraz zaś musimy się pożegnać, bo nam spieszno do naszych żon i dzieci, a o jedenastej zobaczymy się na dworcu strasburgskim.

— Ależ moi kochani nie trudźcie się o tak późnej godzinie!

— Dla nas to nie trud, to obowiązek — odparł Stanisław. — Tyle chwil przyjemnych spędziliśmy w twojem towarzystwie, tyle razy pomagałeś nam w potrzebie, że nie być z tobą do ostatniej godziny, poczytywalibyśmy sobie za grzech ciężki. Zresztą jutro święto uroczyste, możemy się więc wyspać.

— Ha! jeżeli taka wasza wola, nie sprzeciwiam się moi drodzy.

— Dowidzenia się Ryszardzie!

— Dowidzenia bracia!

Każdemu serdecznie dłoń uścisnął, i oni odeszli wzdłuż Sekwany, w kierunku przedmieścia Ś. Antoniego. Pod kasztanem zostali tylko Ryszard i jego przyjaciel Juljan.

Wieczór był gorący. Słońce na zachodzie zwolna

zapadało. Łuk tryumfalny rysował się majestatycznie na czerwonem tle nieba, a obelisk na placu Konkordji przecinając go w samej połowie, uzupełniał w ten sposób obraz oryginalny i piękny. Z pobocznych ulic tłumy nadciągały, z każdej strony słychać było turkot powozów, poczem wszystko zmięszane rozlewało się po polach Elizejskich, płynąc zwolna ku laskowi Bulońskiemu.

Ryszard nie podziwiał tego obrazu. On smętnem okiem odprowadzał przyjaciół w bluzach.

— Biedni ludzie! — półgłosem szepnął.

— Prawda że biedni — odrzekł towarzysz — lecz nie może być inaczej. Gdy drzewo rąbią, drzazgi lecą, gdy narody o byt swój walczą, muszą być ofiary.

— Szkoda tylko, że ta ofiara tak mało krajowi pożytku przynosi.

— Mój Ryszardzie, nie bądź że znowu tak wielkim pessymistą. Ciekawym coby z nas było, gdyby nie nasze szaleństwa... Znasz przecie historję, więc nie zaprzeczysz, że bylibyśmy zgnili i zginęli. Dopiero w krwi i trudzie nabraliśmy sił i poczuliśmy się narodem.

— Prawda Juljanie, święta prawda, i nie sądź bym jej nie uznawał,.. Jeźli czasem z innem zdaniem występuję, pochodzi to głównie ztąd, że słysząc, jak najpoważniejsi nasi mężowie w czambuł tych potępiają, którzy w najlepszej myśli naród do walki popychali, mimowoli daję się ich zdaniu powodować i słowa rzucam, których potem żałuję. To tak samo, jak gdy człowiek nasłuchawszy się jednej arji, myśli potem o czem innem, a ją machinalnie wygwizduje...

Umilkli. Po niejakim czasie Julian pierwszy przemówił.

— Powiedz mi mój kochany, co właściwie myślisz robić, do kraju wróciwszy?

— Przyznam ci się otwarcie że jeszcze sam nie wiem. W Lipsku złożyłem doktorat filozofji, w Paryżu ukończyłem medycynę, zatem jako doktor dwóch fakultetów powinien bym w kraju umieć mój czas dobrze zużytkować, chociaż z drugiej strony lękam się, by mi konieczność nie kazała pójść w brew powołaniu i zostać rolnikiem.

— A to czemu?

— Bo majątek mego ojca jest rozległy a gospodarstwo, o ile się domyślam, nie należy do najlepszych. Jak wiesz, nie chcąc studjów przerywać, od dwóch lat w domu nie byłem, Bóg wie zatem, co się tam w tym czasie stać mogło. Mój ojciec jest najzacniejszym człowiekiem pod słońcem, ale...

— Lekkomyślny.

— Tego nie śmiałbym powiedzieć... On jest raczej dobroduszny, łatwowierny, nieprzypuszczający, by go ktokolwiek chciał oszukać, dla całego świata wylany i nadzwyczaj gościnny, słowem, mój ojciec jest prawdziwym typem polskiego szlachcica.

— I dla tego że szlachta jest taką, ginie — Juljan uzupełnił.

— Racja, Juljanie, racja! My, co długie lata spędziliśmy wśród narodów pracowitych i oszczędnych, nauczyliśmy się trzeźwiej patrzeć i żyć inaczej, ale oni! Im się jeszcze zdaje, że epoka Sasów trwa ciągle, że pieniędzy nigdy nie braknie... Za to gdy przyjdzie rozczarowanie, będzie ono okropne!

— I zapewne tego się obawiasz?

— Alboż ja wiem, mój drogi! Ojciec odwidzał mnie tu kilka razy, zawsze był wesół i o biedzie nie mówił, mnie tyle przysyłał, ilem potrzebował, zatem właściwego stanu jego majątku nie znam, i tak długo nie poznam, póki do domu nie wrócę. Lecz boję się, bym nie zastał gorzej, niż to sam przewiduję.

— Wszak ty masz po matce własny majątek?

— O mnie tu nie idzie, mój drogi, przecie ja mam chleb w ręce. Zresztą te trzydzieści tysięcy, które nieboszka moja matka dla mnie w sądzie złożyła, aż nadto mi wystarczą... Jeżeli lękam się katastrofy, to przez wzgląd na ojca... On przyzwyczajony do życia wystawnego.

— Przepraszam cię Ryszardzie, jednej rzeczy nie rozumiem. Jeźli się nie mylę, raz mi wspominałeś, że nieboszka twoja matka testamentalnie zastrzegła, żeby owe trzydzieści tysięcy, które zostawiła, nie były ci wydane przed ukończeniem dwudziestego szóstego roku życia.

— Tak jest. Nie mniej postawiła warunek, że do tego czasu muszę za granicą choć jeden fakultet ukończyć. Przed kilku dniami minęło mi właśnie lat dwadzieścia sześć...

— I ty utrzymujesz Ryszardzie, że twój ojciec nie jest lekkomyślnym?

— Zkąd to zapytanie Juljanie?

— Daruj mi, że występuję z sądem o osobie tak bliskiej twemu sercu, wszakże jako twój przyjaciel mogę to śmiało uczynić. Testament nieboszki twej matki jest ponoś najlepszym dowodem,

że pan Władysław Gozdawa nie był nigdy Spartaninem. Bojąc się, żeby syn nie wdał się w ojca, zrobiła go małoletnim do dwudziestego szóstego roku życia, i kazała mu się uczyć, aby w najgorszym nawet razie nie został bez chleba. Musiała to być rozumna i święta osoba mój przyjacielu! Ale kiedy tak rzeczy stoją, to wracaj do domu jak najprędzej, boś tam gotów doprawdy zastać już tylko ruinę...

Ryszard nic na to nie odpowiedział.

Po niejakim czasie przyjaciele wstali, a przeszedłszy się po polach Elizejskich, wrócili do mieszkania przy ulicy Rivoli.

Pan Stanisław i jego towarzysze dotrzymali przyrzeczenia. Na pół godziny przed odejściem pociągu, zgromadzili się wszyscy w ubiorach odświętnych na dworcu kolei strasburgskiej, aby pożegnać swego przyjaciela i dobroczyńcę. Ryszard bo też zasłużył na takie uznanie. Przez cały czas pobytu swego w Paryżu żył tylko z Polakami, rozsypanymi po różnych fabrykach i zakładach, leczył bezpłatnie ich żony i dzieci, z biedniejszymi zaś dzielił się groszem ostatnim. Skutkiem tego w kasie swojej miał zawsze pustki, a i teraz mógł sobie tylko kupić bilet III. klasy, chociaż ojciec przyzwyczajał go od dziecka do pierwszej. On atoli nic sobie z tego nie robił, i ze łzami w oczach dziękował za pamięć tym poczciwym rzemieślnikom, z których niejeden także w dostatkach się urodził, a w skutek zawieruchy w kraju, musiał wyjść na tułactwo, żeby gorzko na chleb codzienny pracować.

Uścisnąwszy wszystkich kolejno, między nimi i Juljana, który jeszcze rok miał w Paryżu zabawić, powiedział im raz ostatni: Do rychłego zobaczenia! wsiadł do wagonu i odjechał.

W drodze nigdzie się nie zatrzymywał. Poznawszy Niemcy, w czasie kilkoletniego swego tamże pobytu, lepiej prawie niż kraj ojczysty, nie spodziewał się w nich nic nowego zobaczyć, dla ludzi zaś tamtejszych, z dawien dawna tak mało miał sympatji, że dla nich nie chciał ani jednej godziny stracić. Pędził tedy dniem i nocą do domu, póki nie wjechał do Starejwsi, majętności należącej od trzech wieków do jego rodziny.

Zanim do dworu dojedzie, musimy go wyprzedzić aby poznać jego ojca, pana Władysława Gozdawę.

Ten na werandzie, zkąd był wspaniały widok na ogród, rzekę i góry, siedział w towarzystwie ojca Samuela, z zakonu Bernardynów, którzy w pobliżu mieli klasztor. Pan Gozdawa pali fajkę na długim cybuchu; ojciec Samuel od czasu do czasu tabaczkę zażywa. Między nimi, na srebrnej tacy, stoi butelka starego tokaju, którego płyn złocisty widać w dwóch kieliszkach kryształowych. Gospodarz, mężczyzna pięćdziesięcioletni, ma twarz pełną, rumianą, otwartą, z wąsem zawiesistym; ksiądz, staruszek blisko siedmdziesięcioletni, trzyma się jeszcze krzepko, lecz oblicze jego już pomarszczone, wyschnięte i dziwnie jakoś zbolałe.

Mimo różnicy wieku, zawodu, nareszcie usposobienia, ludzie ci bardzo się kochają i nawzajem poważają. To też ilekroć jednemu lub drugiemu czas pozwala, spieszy odwidzieć przyjaciela, by z nim pogawędzić o przeszłości i podumać nad przyszłością. Nie dziw więc, że chociaż ojciec Samuel miał dziś w klasztorze niezmiernie wiele do czynienia, otrzymawszy serdeczny list od pana Gozdawy nie mógł się wymówić i przyjechał. Dziś jednak szczególnie to poskutkowało, że przyjaciel spodziewał się tego dnia syna z Paryża. Zacny staruszek chciał więc z nim podzielić tę chwilę radośną i uroczystą.

— Coś mosterdzieju siedzimy jak na rekolekcjach — gospodarz przemówił czarny dym z cybucha wypuszczając. — Ot napijmy się lepiej sercuńciu. Za wasze zdrowie ojcze Samuelu!

— Serdeczne dzięki panie dobrodzieju.

Staruszek wziął kieliszek, dotknął się kieliszka gospodarza, wypił trochę i na dawnem miejscu go postawił. Pan Gozdawa duszkiem swój kieliszek wychyliwszy wziął za flaszkę.

— A to co mosterdzieju? Jegomość widzę, pragniesz się ze mną poróżnić, kiedy na mojem śmieciu nie chcesz wypić za swoje zdrowie kieliszka wina. A przecie to sercuńciu nie fałszowane, ale sprawiedliwe węgierskie. Jak łza mosterdzieju!

— Doskonałe, wyborne, wszelako jak dla mnie, trochę za mocne...

— E! ktoby wam tam wierzył, mosterdzieju — pan Władysław wesoło zawołał. — Przy ludziach to każdy z was sercuńciu składa się, jakby trzech nie umiał zliczyć, za to u siebie w piwnicy, gdy go nikt nie widzi, ciągnie mosterdzieju aż ognia daje.

— Może niegdyś tak bywało, lecz nie dziś... Teraz i po klasztorach bieda.

— Ej! co bieda, to bieda mosterdzieju —

gospodarz potwierdził z westchnieniem głębokiem. — Jeżli kto, to ja sercuńciu mógłbym coś o tem powiedzieć... Ale nie warto życia sobie zatruwać, zwłaszcza mosterdzieju że mogłoby być jeszcze gorzej. I cóż ojcze, wypijecie to wino, czy koniecznie chcecie bym wam za kołnierz wylał?

— A jak mnie głowa rozboli? — ksiądz żartobliwie zapytał.

— Nie boję się o was, mosterdzieju, nie boję! Zresztą jak powiedziałem, wino sprawiedliwe, a z takiego głowa nigdy nie poli.

Bernardyn wychylił kieliszek; gdy gospodarz chciał znowu nalać, nakrył go dłonią.

— Cóż to sercuńciu, jegomość widzę boisz się, jakby nieprzymierzając jaka panna.

— Za wiele panie dobrodzieju, za wiele.

— Aleź *omne trinum perfectum* mosterdzieju! Przecie ojcowie Bernardyni umieją trzymać się łacińskich sentencji. A teraz na bok z ręką, bo jak mi Bóg miły, będę lał po palcach mosterdzieju.

Trudno się było upierać, ksiądz rękę usunął, gospodarz nalał kieliszek.

— Skoro pan dobrodziej tak stanowczo zmusza biednego bernacha do pijatyki, to niechże mi będzie wolno wnieść jednę prośbę. Ten nowy kieliszek wypijemy dopiero na powitanie pana Ryszarda, który powinienby wkrótce nadjechać.

— Długo czekać mosterdzieju, dopiero pół do piątej. Kolej przychodzi po trzeciej, a że droga trochę się popsuła, więc ani myśleć, żeby tu był przed piątą. Zresztą sercuńciu, on nie do picia. Przecie go jegomość zna, a chociaż nie widzieliście się blisko trzy lata, ani na włos mosterdzieju nie zmienił się w tym czasie. Ani to do tańca sercuńciu, ani do różańca, ani do pitki ani do wybitki. Jak mi Bóg miły nie wiem w kogo się wdał, chyba w nieboszkę matkę... Hej! hej! święta to była kobieta... Zeszłego roku naprzykład, przyjechawszy do Paryża, mówię mu: — „Ryszardzie, sercuńciu, chodźmy do Mabilu!“ — Ja chciałem sobie pójść mosterdzieju nie dla tego zaraz, żeby tam tego, bo przecie synowi nigdy zgorszenia nie dawałem, tylko ot sobie, żeby tam ot, ale czy dałbyś jegomość wiarę, ze on nawet nie wiedział gdzie jest Mabil? I to mi kawaler, mężczyzna mosterdzieju? Do klasztoru z nim sercuńciu, nie do Paryża!

— Pan dobrodziej zapewne sam poszedł?

— A cóż miałem robić mosterdzieju. Szczęście że znalazła się wesoła kompanijka, bo to sercuńciu w Paryżu o nią nie trudno, byle w kieszeni było *de quibus*... Oj drogoż tam, drogo!

— Skoro pan Ryszard nie wie, którędy się do Mabilu idzie, więc zapewne będzie coś umiał powiedzieć o rzeczach ważniejszych. Nie bez tego, żeby prócz nauki, nie zajmował się także polityką. Paryż to miasto wielkie i rozumne, tam o polityce każdy coś umie powiedzieć.

Ojciec Samuel namiętnie lubił politykować, i przykro mu było, że pan Gozdawa, który pod tym względem gust jego podzielał, tego dnia jakoś na politykę nie schodził.

— Wątpię mosterdzieju, żeby Rysio polityką się zajmował... On sercuńciu siedzi tylko w książkach jak robak w chrzanie, i myśli że mu dobrze. Jak mi Bóg miły ja tego nie pojmuję. Żaden jeszcze Gozdawa nie był uczonym, a on mosterdzieju skończył aż dwa fakultety i ma dyplomy na oślej skórze, takie jak ten stół. I na co mu tego, ciekawym na co! Ale cóż robić, kiedy sobie tego nieboszka matka życzyła... Święta to była kobieta, tylko trochę dziwaczka. Bo i niech mi kto powie sercuńciu, czy to ma sens jaki, żeby Gozdawa był doktorem... Jakby się moi przodkowie o tem dowiedzieli, ręczę mosterdzieju, że każdy z nich przewróciłby się w grobie.

— Nic to nie szkodzi panie dobrodzieju — ksiądz przerwał — że młody człowiek czegoś się nauczy. Czasy dziś inne, i nikt nie wie, co nam jutro przyniesie...

— Ciekawym sercuńciu, coby mojego Rysia mogło spotkać!... Chłopiec mosterdzieju zdrów jak ryba, przystojny jak malowany, całkiem do matki podobny, młody, majątek będzie miał, ożenić się może doskonale, więc na co mu mosterdzieju dyplomów doktorskich?

— Sąsiad dobrodziej inaczej zrozumiał moje słowa, niżem tego pragnął. Mówiąc, że nie wiemy, co nam jutro przyniesie, miałem na myśli nie przyszłość pana Ryszarda, którą on sam najlepiej sobie zabezpieczy, jeno sprawy publiczne.

— Aha! Jegomość widzę boisz się, żebyśmy wojny nie mieli.

— Oto właśnie co powiedzieć chciałem —

zawołał żywo bernardyn, do gospodarza krzesło swoje przysuwając. — Jak dotąd jeszcze spokój, lecz Bóg wie co będzie za miesiąc, a co za pół roku.

— Źle będzie mosterdzieju, bardzo źle, ja to w powietrzu czuję. Turka zjedzą sercuńciu jak kuropatwę, i nawet kości z niego nie zostaną.

— Doprawdy? Biedny Turek!

— Jak widzę jegomość pociąga za bisurmanem, a to sercuńciu nie po katolicku.

— Religja panie dobrodzieju swoją drogą, a polityka swoją... Jeżeli żal mi Turka, to nie dla tego, że w Chrystusa pana nie wierzy, tylko za to, że on naszym biedakom dawał u siebie schronienie, i był jedyny między mocarzami Europy, który nie uznał podziału Polski.

— I mnie go żal mosterdzieju, lecz co na to poradzić? Kilka dni temu opowiadał mi jeden z naszych delegatów, który świeżo z Wiednia wrócił, że Andrassy zwąchał się z Gorczakowem i Bismarkiem i teraz sercuńciu wszyscy razem będą Turka skubali. I obskubią go jak kuropatwę mosterdzieju, chyba...

— Chyba co? — ksiądz z ciekawością podchwycił z krzesła się podnosząc.

— Chyba że będzie miał rozum, i we dwakroć przejdzie Dunaj, aby swoje konie w Wiśle skąpać. Wtedy pogadalibyśmy mosterdzieju!

— Kto wie czy to nie nastąpi — bernardyn żywo odpowiedział, przyczem wzrok mu się zaiskrzył. — Przecie Turek ma wojska bez liku, niedawno gdzieś czytałem, że byle zechciał, postawi przeszło pół miljona, a że Bóg dobrej sprawie pobłogosławi, to więcej niż pewne. Hej! hej! sąsiedzie dobrodzieju, nie dałbym za to szeląga złamanego, że przepowiednia Wernyhory spełni się do joty.

— I ojciec wierzysz w takie przepowiednie?

— Mój Boże, alboż my możemy wiedzieć, co tam w górze napisane i kogo Stwórca wybierze sobie za narzędzie, by prawdę głosił?

Pan Gozdawa zachmurzył się i zadumał. Jeźli mamy prawdę wyznać, i on w duszy najzupełniej zdanie ojca Samuela podzielał, wierzył nawet że wojna wschodnia, na którą się zanosiło, Polsce koniecznie coś dobrego przyniesie, i tylko dla tego z tem się nie zdradzał, że delegat, o którym wspomniał, plany mu pomięszał. Kiedy pan Gozdawa wynurzył przed nim nadzieję, że strzały nad Dunajem rozjaśnią widnokrąg nad Wisłą, począł śmiać się spazmatycznie, a potem radził mu, żeby te mrzonki raz na zawsze z głowy sobie wybił, mocarstwa bowiem porozumiawszy się z sobą, tak prędko i stanowczo sprawę wschodnią rozwiążą, że na zajmowanie się sprawą polską nawet czasu nie będzie. Usłyszawszy to pan Gozdawa powiedział sobie, że może to i prawda i odtąd zaczął chwiać się w dawnej wierze.

Przeciwnie ojciec Samuel. Ten nasłuchawszy się od dziecka, że Turczyn jest naturalnym i jedynym sprzymierzeńcem Polski, i że dopiero wtedy napewne ojczyzna nasza powstanie, gdy Rosja nad Dunajem do ostatecznej rozprawy wystąpi, starał się wszelkiemi sposobami przyciągnąć na swoją stronę pana Gozdawę, dając mu przy tem niedwuznacznie do zrozumienia, że jako Polak powinien nawet Boga usilnie prosić, by wojna na Wschodzie jak najprędzej wybuchła, gdyż tylko ztamtąd może dla nas przyjść zbawienie.

— Że z tego coś dobrego dla nas wyniknie, — kończył z zapałem — to tak pewne, jak to, że teraz słońce świeci... W najgorszym jeszcze razie Mac-Mahon, o którym przecie wszyscy mówią, że jest naszym wielkim przyjacielem, powie także swoje słowo... A Francuz to nie byle kto!... Jak będzie potrzeba, potrafi i on tak zagrać na Wschodzie, że przy tej muzyce z pewnością wszyscy potańcują. Przekonasz się sąsiad dobrodziej, że ja mam rację.

— Panicz jedzie! — dał się słyszeć głos chłopaka, który przybiegł pod werandę i w tejże chwili na mostku zaturkotało.

Pan Gozdawa odrzucił fajkę, która właśnie zgasła, porwał się z krzesła i zapominając o swoim gościu, pobiegł na spotkanie jedynaka.

Ojciec Samuel także się podniósł i stanął w połowie wschodów, które z werandy na dziedziniec prowadziły.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Fryderyk spoglądał na Blankę, nie śmiejąc jej pocieszać. On także płakał. Teraz pozwolił płynąć łzom spokojnie, podczas gdy je tłumił boleśnie od początku rozmowy. Ta boleść wspólna łączyła ich coraz mocniej z sobą.

Nagle panna de Moranes otarła łzy i podnosząc się blada z oczami wilgotnemi:

— Żegnam pana — rzekła — jedź i słuchaj matki, nie staraj się zbadać powodów. Zapewne ma słuszność i nie robi to ujmy nikomu. Musiano powiedzieć pani de Rosey, że jestem niedołężna, słabowita osoba, tak, bardzo chora, nie do uleczenia. Wierzy temu, a i ja wierzę. Są chwile w których zdaje mi się że umieram; jedź pan, nie powracaj już więcej , nawet wtenczas, gdyby ci wrócić pozwolono!

Blanka, mówiąc o swojej chorobie nabierała sił.

— Jeżeli to mówisz, aby mnię oddalić — mówił z zapałem Fryderyk — to mylisz się.

— Ależ popatrz pan na mnie! — szepnęła dziewczyna — czy nie jestem trupio bladą? a moje serce nie bijeż za prędko, by wkrótce zapewne przestać bić zupełnie.

— Nie! Patrzałem na ciebie uważnie, i gdy jeszcze na ciebie patrzę — odparł młody Rosey z miłością — widzę tylko żeś młoda i piękna. Nie potrzebujesz umierać. Ale wiem, odgadłem, jakie życie pędzisz tutaj, w tym pałacu samotnym, przy twoim ojcu, oddanemu studjom i tej szanownej towarzyszce, która ani matką, ani siostrą, ani nie jest ci przyjaciółką. Choraś w skutek samotności — ot wszystko. A dla tego to smutku ukochałem cię naprzód, i chcę cię wyrwać z tej samotności.

Blanka opierała się z trudnością urokowi, któremu ulegała przy tych słowach.

— Mylisz się — mówiła — jestem chorą, a smutek mój pochodzi z choroby.

— Nie mylę się, a tylko boję się zostawić cię tutaj w tym ponurym domu, do którego powrócę po to tylko, aby cię zeń wydobyć!

— O! dom się rozweseli, czekam na brata.

— Jeżeli ten brat jest równie uczonym jak ojciec!... Zaprowadź mnię pani do ojca.

Blanka zadrżała i zawołała boleśnie:

— Do mego ojca?

— Tak, chcę od niego pozwolenia, o które go poproszę.

— Co pan zamyślasz pomimo woli swych rodziców?

— Może moja rodzina mniej bogata i nie tak dawna jak twoja, obawiała się odmowy ze strony barona de Moranes, którąby była upokorzoną; jeżeli mnię przyjmie za syna, któż mi zabroni korzystać z tego szczęścia? A jeżeli ty mnię przyjmujesz, czemużby on miał mi odmówić?

— Mój ojciec jest człowiekiem surowym; odmówi panu, skoro mu powiesz prawdę — a pan nie możesz kłamać!

— A więc będę mu tylko o tobie mówił; przestrzegę go o grożącem ci niebezpieczeństwie, być może wypędzi mię, ale otworzę mu oczy i ukażę bladość twoją, której nie widzi.

— Widział ją, skoro radził się doktorów, i posłał mnię do Boulogne.

Fryderykowi zabrakło słów, nie wiedział co mówić dalej i patrzał na Blankę. Odwaga go odstępywała, wpadł w rozpacz bezsilną z wyżyn niebieskich, na które go miłość wzniosła.

— O! jesteśmy bardzo nieszczęśliwi oboje! — zawołał.

— Tak, bardzo nieszczęśliwi — powtórzyła Blanka, więcej tą skargą wzruszona, niż wszystkiemi argumentami.

Pochyliła głowę na piersi, a po kilku westchnieniach podniosła ją z wysileniem:

— Pan to — rzekła głosem złamanym — znalazłeś nieszczęście w osobie mojej. Gdy odjedziesz nie pójdzie za tobą, ale ja!

— Nie mów tak do mnie Blanko, bo oszaleję!

— Owszem, chcę pana uspokoić. Bądź zdrów panie Rosey.

— Blanko nie wypędzaj mnię jeszcze.

— Nie wypędzam pana, przypominam tylko fatalizm, który nas rozdziela!

— Niema fatalizmu!

Blanka spoważniała.

— Jest to nazwa, którą niewinni jak my dają Opatrzności, gdy jest za surową, a nie chcą jej nazwać niesprawiedliwą.

— A więc pokonam tę surowość i rozbroję niesprawiedliwość.

Nie podołasz temu.

— Podołam, jeżeli mnię kochasz!

— Kocham cię Fryderyku.

— O teraz jestem pewien zwycięstwa!

— Kocham cię — powtórzyła Blanka — będę cię kochała wiecznie, nawet gdybyś nie miał powrócić.

— Powrócę!

— Tymczasem jedź, jedź!

Blanka już nie walczyła ze smutkiem, ani z miłością. Od kilku minut słuchała dalekiego odgłosu, który dochodził jej uszu wśród deszczu i wiatru. Jak usłyszała z panną Dumesnil tentent konia, tak teraz odgadywała przenikliwie turkot powozu, który brata przywoził.

— Jedź, błagam cię — powtórzyła, — ściskając ręce Fryderyka i posuwając go ku drzwiom.

Chciał się opierać, nie przez nieposłuszeństwo, lecz raczej, aby się nacieszyć kilka chwil dłużej tem tak słodkiem, a tak bolesnem wyznaniem, którego upajało i bolało.

Ale widział ją tak bladą, tak drzącą, że obawiał się być egoistą. Miał litość nad tą duszyczką stroskaną, poddał się zatem i usłuchał.

Podniósł do ust rączki białe i zimne, które drżały w jego ręku. Złożył na nich pocałunek słodki i czysty, a chwytając za płaszcz leżący na ziemi, wyrzekł głosem stłumionym.

— Do widzenia Blanko, niezadługo!

— Żegnam cię — szepnęła Blanka.

Wybiegł.

Oparła się o drzwi drząca, wystawiając czoło na deszcz i wiatr, który poruszał drzewa, by popatrzeć jeszcze za nim w ciemności.

Fryderyk wjechał w aleję; w tej samej chwili, gdy powóz przywożący Abla zatrzymał się przed bramą, którą woźnica na rozcież otwierał.

Tentent kopyt zahuczał na kamieniach, jak gdyby koń Fryderyka de Rosey był zawczasu ustąpił, aby się nie potknąć o powóz pana de Moranes, potem słychać było odgłos spiesznego biegu. Powóz stanął i Abel wyskoczył zeń szybko. Zatrzymał się na wschodach, spojrzał po za siebie w noc ciemną, w której znikł jakiś nieznajomy jeździec, a spojrzawszy później na okna oświetlonego saloniku, w dwóch susach był w pokoju, na czas właśnie, aby w objęcia pochwycić chwiejącą się siostrę, która zapewne chciała wyjść i biedz naprzeciw niemu.

V.

Abel zapomniał o wszystkiem, gdy pochwycił siostrę w objęcia. Upoił się jak ludzie, którzy nagle z mrozu do wielkiego przechodzą gorąca.

Po długiej, nudnej podróży, po zajściach w Boulogne, po owych tęsknych rozmyślaniach, zakończonych spotkaniem jeźdźca tajemniczego, który uciekał z domu jego ojca; naraz uległ uczuciu, łagodzącemu wszystko, a nie wiedział, czy to pochodzi z radości, czy z boleści.

Przyciskał do piersi istotę czekającą na niego, aby płakać czy śmiać się na jego piersi, chcącą kochać i być kochaną. Jakże mu miło z tem było! Jakże się raczył owemi łzami, które osuszał pocałunkami swemi.

Więc to była siostra jego! Nie przewidywał myśląc o powitaniu, że tak będzie wzruszonym. Ściskał ją namiętnie; podnosił jej główkę, aby się jej lepiej przypatrzeć; znajdował ją ładniejszą, niż ją sobie wystawiał. Całował jej włosy i pieścił ją z ową poufałością braterską, którą nosił od tak dawna w sercu, której nie zapomniał, chociaż była niby tak dla niego jak dla niej nowością.

— Kochana siostrzyczko, kochana siostrzyczko! — powtarzał, nie mogąc mówić więcej.

— Blanka nie odpowiadała. Czuła się szczęśliwą, że w jego uścisku może płakać swobodnie.

To, co opowiadam, trwało chwilę tylko, a było jakby błyskiem wśród ciemności, prędko ogarnął ich chłód życia, które dręczyło oboje.

Abel po pierwszych pocałunkach przypomniał sobie o smutku, który przywoził i o tem co zastał, unosząc jeszcze raz główkę siostry i spoglądając na nią uważnie, powiedział:

— Jakże jesteś bladą!

— Równie jak ty! — rzekła boleśnie.

Abel zapytał:

— Kto był ów pan, którego spotkałem przed bramą?

— Pan Fryderyk de Rosey.

— Sąsiad?

— Nie.

— Czemu odjechał tak nagle?

Blanka westchnęła i nie odpowiedziała.

— Ty sama go przyjmowałaś?

— Tak.

— I ty go odprawiłaś?

— Przyjechał mnie pożegnać. Mnie tylko; ojciec go nie widział.

— Więc ty przyjmujesz wizyty bez wiedzy ojca?

— Pierwszy raz tę przyjęłam i to po raz ostatni.

Abel mówił, pytając ciekawie, niespokojnie, bez wyrzutu.

— Gdzież jest panna Dumesnil?

— Poprosiłam ją, aby nas samych zostawiła.

— Cóż chcieliście sobie powiedzieć?

— Obawiałam się wyznań, których panna Dumesnil słyszeć nie powinna.

— A te wyznania?

— Skończyły się pożegnaniem.

Blanka odpowiadała cicho, ale stanowczo, okazując bratu, że nie obawiała się jego pytań, a drżała na całem ciele.

Abel trzymając ją ciągle w objęciu, poprowadził do fotelu, posadził i usiadł przy niej.

— No siostrzyczko — rzekł poważnie, prawie ironicznie, nie umiejąc ukryć wzruszenia — zanim powitam ojca, powiedz mi prędko wszystko, co wiedzieć powinienem. Od dwóch godzin obracam się w zagadkach, które chcę wyjaśnić, a z powodu których i ty cierpisz, wszak prawda?

Blanka, mając głowę spuszczoną, podniosła ją szybko. Nad jaką to zagadką silił się jej brat? Któż mu powiedział o niej, zanim przybył do pałacu.

Policzki jej zarumieniły się, oczy oschły i rozwarły. Spojrzała ze swej strony pytająco.

— Zacznijmy od początku — rzekł Abel — ów pan odjeżdżający jest młody, przypuszczam.

— Jest w twoim wieku.

— Czy cię kocha?

— Kocha.

— I ty go kochasz?

— Kocham.

— Prosił o twoją rękę?

— Nie.

— Kiedy poprosi o nią?

— Nigdy.

— I przybył, by ci to powiedzieć?

— Tak.

Abel poruszył się na krześle.

— Odszukam tego jegomościa. Nazywa się pan de Rosey, jak mówisz. Zapewne mieszka w Boulogne. Będę mu miał tylko to do powiedzenia: Niegodny!

Abel przerwał zgrzytając zębami; przypomniał sobie o dwóch pojedynkach, które nań czekały i dziwił się, że okrutne przeznaczenie jeszcze trzeci zgotowało mu na dzisiejszy wieczór.

— O! nie obwiniaj go — westchnęła Blanka — to nie jego wina, żałuj go, żałuj nas.

— Co więc zaszło? Co za powód podaje?

— Jego matka nie życzy sobie...

— Aby się żenił?

— Aby się żenił z panną de Moranes.

Blanka takim głosem wymówiła ostatnie wyrazy, że Abel zrozumiał. Siostra jego przypuszczała, że mogła być niegodną jego ręki.

Przytłumił wybuch, ale zerwał się z krzesła, jak gdyby odebrał ów policzek, który Juljusz Courberon otrzymał od pana de Somery. Przeszedł salon, powrócił napowrót do Blanki, położył rękę na czole siostry, a drugą uniósł jej głowę, aby popatrzeć jej w oczy.

— Wybacz mi siostrzyczko, jeżeli cię obrażę — wymówił głosem stłumionym oddychając mocno — gotów jestem przebaczyć ci wszystko, największą nieostrożność. Przez sześć tygodni bawiłaś w Boulogne?

— Tak.

— Czy tam nic nie zaszło takiego, co mogło upoważniać na pozór odmowną odpowiedź pani de Rosey?

— Nie.

— Chciej mnie zrozumieć. Może byłaś tam lekkomyślną, zalotną.

Zatrzymał się mniej z obawy, aby nie drasnąć niewinnej Blanki, jak ze wstydu, który go ogarnął na myśl, że może posądzać ową bladą, czystą dzieweczkę. Jak śmiał mówić o zalotności temu dziecku smutno poważnemu, tej chorej istocie. Czyż nie było to okrucieństwem?

— Wreszcie — dodał po chwili — może cię obgadano w Boulogne.

— Nie przypuszczam.

— Mogło to ludziom wystarczyć, gdy spostrzegli, że pan de Rosey nie jest ci obojętny.

— Pan de Rosey był powszechnie lubionym, nie sądzę, aby nam zazdroszczono.

— O! złe języki są wszędzie, a szczególniej u wód. Doświadczyłem ja tego... Czy znasz może pana Juljusza Courberon?

— Owszem. Tańczył ze mną dużo... Ale z kąd ty go znasz braciszku?

— Poznałem go właśnie. To plotkarz i głupiec.

— Być może; znam go tak mało.

— A znasz pana de Somery? — pytał Abel dalej.

Blanka szukała w pamięci. Siliła się napróżno.

— Nie — odrzekła — nie znam go.

— To jednak człowiek przystojny i bardzo dystyngowany, pewnie mówiono o nim u wód, albo w kasynie?

— Nie słyszałam o nim.

— Z pewnością?

Blanka nie widziała potrzeby zapewniać, ale patrzała śmiało bratu w oczu.

— W takim razie — rzekł Abel poważnie — to nie nad tobą biedna mała, rozciąga się oszczerstwo, to nad ojcem naszym.

Mówiąc to, pochwycił Abel rączkę Blanki, uczuł że zadrżała, ale nie chciał jej tego spostrzeżenia okazać.

— Co tutaj zaszło w mojej nieobecności?

Blanka zbladła jeszcze bardziej; siliła się na uśmiech.

— Nic — odrzekła słabo.

— Czy ojciec nie pokłócił się, ani nie procesował z kimkolwiek, z czego by ludzie plotki roznieść byli mogli?

— Nie, życie nasze zawsze równe, samotność zawsze ta sama.

— Jest jednakże coś, rzeczywistość lub przypuszczenie.

Abel czuł, jak ręka siostry drżała. Ścisnął ją mocniej, aby ją uspokoić i prawdę z niej wydobyć.

— Blanko — rzekł głosem łagodnym ale stanowczym — ty znasz słowo zagadki, którą chcę odgadnąć, ty mi to powiesz?

— Ja! — szepnęła siostra.

— Tak. Nie obawiaj się powierzyć mi tajemnicy, jakąkolwiek jest. Prawda! nie może być gorszą od tortur niepewności, które mnie dręczą!

Blanka ruszyła przecząco głową.

— Tak siostrzyczko, ty wiesz dla czego spotyka cię zniewaga. Ciebie piękną, czystą, dobrą, nie uznać za narzeczoną człowieka, który cię kocha i szanuje! Ja chcę wiedzieć jaki jest tego powód? Co wreszcie za przyczyna, że w pierwszej chwili wylądowania, spotykam dwóch pyszałków, których nazwisko moje drażni, z którymi bić się muszę.

Blanka wyrwała rękę z dłoni brata, a rzucając mu się na szyję, zawołała:

— Pojedynek.

— Dwa nawet — odparł szorstko Abel patrząc na nią uważnie. — Biję się z panem Juljuszem Courberon i panem de Somery.

Blanka przycisnęła się do niego i wybuchła głośnym płaczem.

— Ah! Jak nieszczęśliwi jesteśmy oboje! — zawołała, powtarzając z boleścią wykrzyk p. de Rosey.

Więc naraz wszystko miała postradać, narzeczonego i brata? Pozostała chwilę milcząca na piersi brata, ulegając słabości, życząc sobie niejako, aby to było omdlenie śmierci.

— Więc bić się będziesz? — powtórzyła wreszcie głucho.

— Nie obawiaj się o mnie. Będę silniejszy gdy się prawdy dowiem.

— O nie! — zawołała Blanka podnosząc się.

Abel struchlał; przerażenie siostry i jego ogarnęło.

— Więc to rzecz tak straszna, o której mam się dowiedzieć? — zapytał, zaciskając zęby z oczami pałającemi.

— O! straszna! — szepnęła Blanka.

— Ponieważ tyś ją przeżyła — mówił Abel — więc i ja mogę ją usłyszeć i nie umrę. Może nawet gdy się dowiem o wszystkiem, wytłumaczę ci nie jedno i uspokoję cię. Mów!

— Dlaczego się bijesz? Co ci powiedzieli?

— Biję się, bo pan de Somery nie chciał mi podać ręki, a pan de Courberon cieszył się z tego, jak gdyby to aprobował — oto wszystko.

Blanka wahała się, a jednak w jej oczach błysnęła nadzieja. Może ten odważny, szlachetny brat, uwolni ją od tej mary, która ją ścigała, aby ją pożreć.

— No — rzekł Abel stanowczo — jeżeli mówić nie będziesz, zrobię to, co mi radził Courberon, zapytam ojca.

Chciał powstać. Blanka uczepiła się silnie jego ramienia.

— O nie, nie jego! Słuchaj!

Przyciągnęła go do siebie, nachyliła usta prawie do jego ucha i zaledwie szepnęła dzwoniąc ze strachu ząbkami:

— Czy wiesz ty jak nasza matka umarła?

— Nie.

Blanka na pół żywa mówiła dalej:

— Zamordowano ją...

— Zamordował! Kto?

— Zamordował...

Nie mogła wymówić ostatniego wyrazu, który ją dławił. Zaszlochała jękiem, ale ręką wskazała na drzwi do dalszych pokoi. (C. d. n.)

Miłość wszystko zwycięża.

NOWELLA.

W małym pokoiku na środku, stały sztalugi z obrazem podmalowanym. Na ścianach wisiały obrazki i sztychy bez ram. Mebelki były ubożuchne. Wszystko zdradzało biedę, prócz pięknego portretu w złotych, kosztownych ramach.

Portret przedstawiał kobietę o rysach szlachetnych. Z oczu ciemnych, długą rzęsą przysłoniętych, świeciły dobroć i szczęście. Usteczka koralowe zdradzały krasę młodości, a całego obrazu wiał urok niezwykły. Widać było, że artysta malował go w uniesieniu miłości, duszę całą weń wlewając.

Oryginałem tego obrazu była młoda kobieta siedząca przy oknie z robotą w ręku. Lecz jakaż w niej zmiana? Świeżość lic znikła, oczy blask straciły, troska o jutro z nich przeglądała, usta były chorobliwo blade.

Szyła pilnie, na chwilę nie przerywając, mimo że robota widocznie ją męczyła.

Przy sztalugach siedział mężczyzna trzydziestoletni. W lewej ręce trzymał paletę, w prawej penzel, którym robił pociągnięcia śmiałe, nawet często genjalne. Nie wyglądał na artystę, raczej na skromnego akademika; tylko gdy spoglądał na obok siedzącą żonę i uśmiechał się do niej, oko jego wyrażało szczęście, niezamącone nawet prześladowaniem losu.

Odkładając penzel na bok i zatapiając spojrzenie w żonie:

— Jadziu — rzekł — gdy skończę i sprzedam ten obraz, robotę twą złożę bogom na ofiarę.

Żona uśmiechnęła się słodko.

— Nie mogę patrzeć, że ty cały dzień szyjesz. Przyznaj, że ci to z trudnością przychodzi?

— Wszak i ty pracujesz, więcej niż ja.

— Mąż jest głową rodziny, Jadziu! Głowa powinna o innych członkach myśleć, bo pocóż siedzi na karku. Moja widocznie nie wiele warta. Myślałem o innem życiu dla ciebie Jadziu — nawet ci je obiecywałem — ba! kiedy przychodzą chwile w życiu, w których człek nie ma ani szeląga.

— Czy myślisz Alfredzie, żem z mego losu niezadowolona?

Wstał, a obejmując jej wiotką kibić:

— Znam twoją anielską dobroć i cierpliwość — odrzekł — ja nie mam jej Jadziu, chciałbym ci raj na ziemi już dziś stworzyć; lecz ufaj mym słowom: Miłość wszystko zwycięża! Obiecuję ci — cicho! Ktoś idzie.

Kroki dały się słyszeć koło drzwi; ktoś silnie zapukał i gruby mężczyzna wtoczył się do pokoju. Dreszcz przebiegł po ciele młodej kobiety; przeciwnie malarz był spokojny nawet uśmiechnięty.

— Panie Górski — przemówił wchodzący, dziś jest już piąty stycznia, ostatni termin zapłaty. Dłużej czekać na czynsz nie będę, i jeżeli pan nie zapłacisz, to...

— Aha! piąty stycznia. Niech pan siada... panie Twardziewicz. Proszę, proszę!

Górski przysunął mu krzesło i zapytał:

— Więc spodziewasz się pan odemnie pieniędzy?

— Naturalnie! — odpowiedział gospodarz domu.

— Nie dziwię się panu bynajmniej, bo i ja spodziewam się pieniędzy. Pan odemnie, ja od losu. Znajdujemy się w jednakowem położeniu.

— Żądam zapłaty czynszu, lub nie ścierpię pana

ani jednego dnia dłużej w mym domu! — krzyknął gospodarz.

— Nie przerywaj mi pan, panie Twardziewicz — przemówił malarz z największym spokojem — i pozwól mi skończyć. Chcę panu właśnie wytłumaczyć, jak nierozsądnie postępujesz z domu mnie wypędzając. Pan już jesteś w podeszłym wieku, irytacja ci szkodzi, masz ładną córeczkę, nic do pana nie podobna, już dla niej samej powinieneś się pan przyzwoicie zachowywać; zresztą, co tu pomoże gwałtowność, pieniędzy nie przysporzy a może rzucić brzydkie światło na pańską wspaniałomyślność i znane z litości serce. Zresztą, zastanów się pan...

— Do stu djabłów! Nad czem ja mam się zastanawiać — krzyknął gospodarz ze złością. — Chcę mych pieniędzy! punkt i basta!

— Zamiast punktu, radziłbym dać raczej znak zapytania — przerwał malarz śmiejąc się — bo pieniędzy nie mam.

Gospodarz trzęsąc się z gniewu, oglądnął się po pokoju by jaki sprzęt wartościowy znaleźć. Oko zatrzymało się na portrecie.

— Sprzedajcie ten obraz, parę talarów zawsze za niego dostaniecie. Ja sam — tu urwał, wartość ramy w duchu obliczając.

— Parę talarów za niego dostanę, bardzoś pan łaskaw, panie Twardziewicz, podziwiam pańską znajomość sztuki, — odparł z goryczą malarz, — trzeba ci jednak wiedzieć, że nie sprzedałbym go za żadną cenę, gdybyś mi pan nawet dawał cały dom, wraz ze swoją szanowną osobą. Lecz gdybym pana portret miał robić, wymalowałbym najszlachetniejszego gospodarza, jak w lewej ręce trzyma worek z pieniądzmi, prawą dusi czynszownika, z uśmiechem dobrodusznym na ustach, nosem spiczastym, uszami odstającemi, oczkami świdrującemi...

— Wypraszam sobie podobne żarty! — krzyknął gospodarz. — Wynoście się zaraz dziś, choćbyście mi pomieszkanie złotem wysypali, nie zniosę was dłużej.

Z fukiem opuścił pokój.

— Tego nie zrobimy z pewnością! — krzyknął za nim malarz, a zwracając się do żony — Jadziu — rzekł, prawda że tego nie zrobimy?

Oczy młodej kobiety były łez pełne.

— Co teraz poczniemy? — ze strachem zapytała.

— Wyprowadzimy się, Jadziu, dziś jeszcze. A może myślisz, że grubas każe mi się odmalować? Toż to byłby cudowny portret.

— Nie żartuj Alfredzie — prosiła płacząc żona. Cóż my poczniemy? nie mamy innego pomieszkania.

— Znajdę je zaraz, i wyprowadzimy się. Z rzeczami nie będziemy mieli wiele kłopotu. Widzisz, często złorzeczę losowi, że mnie bogatym nie zrobił, by ci życie uprzyjemnić, lecz i bieda ma swe korzyści. Za godzinę znajdę pomieszkanie i w mgnieniu oka będziemy już w nowym pałacu. Tylko zawsze głowę do góry Jadziu!

— Nie znajdziesz tak prędko, — przemówiła żona.

— Znajdę... szyję daję w zastaw! Miłość wszystko zwycięża, a ja cię kocham z całego serca Jadziu!

Otoczył ją ramieniem, przycisnął do serca i na jej twarzyczkę wrócił uśmiech szczęścia. O! bo przy jego boku czuła się szczęśliwą, mimo nędzy i troski, a jego niezmienny humor dodawał jej odwagi w chwilach największego smutku.

Alfred zebrał się prędko, wychodząc pocałował raz jeszcze żonę w czoło, i wybiegł na ulicę.

Młoda kobieta zostawszy sama, szybko szyć zaczęła, pomału jednak ręce opadły, a myśl objęła życie jej całe. Córka bogatych rodziców, w zbytkach wychowana, przeciw ich woli, z miłości, poślubiła Alfreda, wiedziała że majątku nie ma, znała jednak jego zdolności, a ulubione jego słowa „Miłość wszystko zwycięża“, odbijały się w jej sercu. O! jak z nim była szczęśliwą! Gdy jednak choroba i inne wypadki w dom ich zawitały, zaczęły się chwile ciężkie, walka o byt ich przygniatała, myśl o jutrze była straszną. Alfred był za dumny by o pomoc krewnych prosić, chciał swojej pracy wszystko zawdzięczać, ufał przyszłości i wesołe usposobienie nie opuszczało go nigdy.

Ona też mimo prześladowania losu, czuła się szczęśliwą. Miłość dla niego z biedą się jeszcze zwiększała, z radością myślała o przebytych dniach smutku, w których była mu pociechą jedyną. A jednak gdy w przyszłość spoglądała, serce ściskało się kurczowo. Co poczną, gdy znów choroba ich nawidzi? a ona już dziś czuje się tak słabą. O! niech biedny Alfred przynajmniej nic o tem nie wie.

Czekała z drżeniem na jego powrót, z obawą że może pomieszkania nie znajdzie; wiecznością wydawały jej się dwie godziny. Wreszcie usłyszała jego kroki. Wszedł — a chociaż uścisnął ją serdecznie jak zawsze, spostrzegła brwi kurczowo ściągnięte.

Ręką rozgładziła mu czoło i z nieśmiałością zapytała:

— Nie znalazłeś pomieszkania, Alfredzie?

— I owszem. Dziś możemy się nawet wprowadzić. Szukałem jednak długo, bo gospodarze żądali zadatku. Nikt, prócz ciebie Jadziu, mych pięknych oczu nie ceni. Wreszcie znalazłem poczciwca, który mi zawierzył na słowo. A jakie mam pomieszkanie! Pyszne! Cudowne! W pobliżu nieba — zawieszone w chmurach — na czwartem piętrze! Nie przestraszaj się żonciu, wniosę cię tam na rękach. A co za miłe uczucie ogarnia człowieka, gdy widzi wszystko u nóg leżące. Ile też będziemy mieli korzyści!... Mieszkać będziemy sami. Wierzyciele nudzić nas nie będą, ze strachu by nie zostali w otchłań piekielną strąceni. Możemy tańczyć i śpiewać. A najważniejsze, iż gospodarz tam nie przyjdzie, bo z góry musi być przekonany że pieniędzy nie mamy.

Młoda kobieta zaśmiała się. Byłaby chętnie nawet na dziesiąte piętro wyemigrowała, byle zdala od ludzi, którzy z ich biedy szydzili.

— Czy dziś się tam sprowadzimy? — zapytała.

— Naturalnie. Po drodze odkryłem skarb nieoceniony. Muszę ci go przedstawić. Za godzinę będzie tu, by nasze rzeczy przenieść. To złoto nie człowiek, Jadziu, będzie moim kamerdynerem, twoją pokojową, i naszym aniołem opiekuńczym w ciężkich chwilach. Zobaczysz go niebawem, wprawdzie nie wielki, prawie karzeł, lecz serce ma najlepsze. Nie widziałem go od dawna, a jednak gdy mnie spotkał i dowiedział się o naszem położeniu, ofiarował mi swe usługi bezinteresownie jako tragarz, lokaj i przyjaciel.

— Zkąd go znasz?

— To długa historja. Wyświadczyłem mu przysługę, za którą mi całe życie wdzięczny. Przyszedł przed kilku laty jako uczeń do mej pracowni, pragnąc zostać malarzem. Wyperswadowałem mu to szaleństwo i tem wybawiłem go od nieszczęścia. Widząc, że mu dobrze życzę, został pucobutem i żyje paradnie, czyszcząc studentom buty, suknie i kieszenie. Pali cudze cygara, spaceruje w niedzielę w pańskich lakierkach, i jest mistrzem w obstrzyganiu pudlów. Lecz co do nas nie bój się, wprawdzie gdybym mu powierzył pudełko z cygarami wziął by z nich parę, lecz podzieli się ze mną widząc, że żadnych nie posiadam. Ale chodźmy rzeczy upakować.

W pół godziny wszystko było gotowe.

— Widzisz żońciu — zawołał Alfred na kuferku siadając — jak to dobrze mieć mało rzeczy. Nie raz chciałem być ptakiem i wzbijać się pod obłoki, naturalnie z tobą. O! jak to błogo bujać ponad wody i lasy, przepędzać noc na drzewie, nie zdejmując krawatki, rano oczyszczać dziobkiem skrzydełka i jeść table d' hôte na łące, nie płacąc rachunku.

Tu przerwało mu wejście małego człowieczka.

— Patrz Jadziu — zawołał malarz witając się z karzełkiem — to mój przyjaciel Sikora, którego cnoty przed chwilą ci wyliczyłem. Wprawdzie nie wielki, ale harda dusza w ubogiem ciele.

Mały zaśmiał się uszczęśliwiony. Zarzucił nie zbyt ciężki tłumok na plecy, i udał się we wskazane mu miejsce. Przed wieczorem wszystkie rzeczy były przeniesione i młode małżeństwo znajdywało się w nowem pomieszkaniu. Wprawdzie Jadzi trudno było dostać się na poddasze, lecz troskliwość i zachęta Alfreda i to jej ułatwiły.

Za chwilę wszystko było urządzone. Przechodziło się przez długi strych, na końcu którego były wschodki, prowadzące do ich izdebki i alkierzyka z kominkiem do gotowania. Alfred żartował w kominku poprawiając.

— Gdym był chłopięciem u rękawicznika, który obok tego rysował i malował, tak że się nie źle odróżniało pięść od nosa, i nauczywszy się trochę rysować, rwałem się do farb, ten zwykł był mówić „zajdziesz wysoko mój chłopcze“ szkoda że umarł, gdyby mnie dziś odwidził, przekonałby się że miał rację, sam nie marzyłem nigdy że się tak wysoko wzbiję. Wszak prawda, że tu pięknie Jadziu? Na kominku ogień płonie... Czyś zadowolona z zamiany?

— O! bardzo — odrzekła, ukrywając osłabienie, które się zwiększało — cisza która tu panuje miłą mi jest, nie dochodzi tu gwar uliczny. — Usiadła obok niego i sparła główkę na jego ramieniu. On przycisnął ją do piersi i okrył pocałunkami. Cóż go w tej chwili obchodziły troski i bole? U boku żony ukochanej czuł się tak szczęśliwy, że za jej uśmiech oddałby był świat cały.

— O! tak — zawołał — tu szczęście do nas zawita! Mamy deszcz, śnieg i wiatr z pierwszej ręki, czemuż jedno szczęście miałoby nas omijać?

A jednak szczęście ich omijało.

Młoda kobieta z dniem każdym była słabszą, już tego ukryć nie mogła przed mężem. On myśląc że ich położenie tak ją martwi, wysilał swój humor, by ją rozweselić. Po całych dniach wykańczał obraz, który miał mu przyszłość zapewnić. Był to najlepszy jego utwor, przeznaczozy na wystawę Sztuk pięknych. Spodziewał się wnet go sprzedać, lecz wprzód musi być ukończony. Wytężał wszystkie siły, zaniedbał mniejsze roboty, gdy go zaskoczyła choroba żony. Musiał obok swej pracy i ją pielęgnować.

Sikora pomagał mu w czem umiał. Gdy trzeba było gdzie pobiedz, lub co kupić, wracał w jednej chwili. Jednak rzadko się to zdarzało.

Jadzia z trwogą patrzyła na ciężką pracę męża.

Daremnie błagała, by się tak nie wytężał. Miłość wszystko zwycięża! śmiejąc się odpowiadał.

Wreszcie obraz był gotów. Z radością posłał go na wystawę, nadzieję weń pokładając. Lecz kupiec się nie spieszył.

Jadzia z izdebki ruszyć się nie mogła. Alfred postawił łóżko przy sztalugach, by ją mieć w pobliżu dzień cały. Zima była ostra. Drzewo się już kończyło. Palcami skostniałemi z zimna, nie jedną godzinę malował, poświstując przy tem często, by żona nie uważała jak dzwoni zębami.

Lecz ona odczuwała wszystko, z boleścią słyszała, jak jego żarty były nie raz gorzkie. O! gdyby mu ulżyć mogła!

Drzewo się skończyło, pieniędzy dawno nikt tu nie widział. Alfred żartował jeszcze. Odwagi Jadziu — mówił — z łez więcej lodu tylko u nas! — i chuchał na szybę, by spojrzeć z wysokości na nędzną ziemię.

Gdy jednak lekarz oświadczył, że chora musi w cieple leżeć, odwaga opuszczać go zaczęła.

— Sikorko! przyjacielu! — zawołał wychodząc, by go żona nie słyszała, — przynieś drzewa zkąd chcesz, choćby z pod ziemi, ale dużo, by po kilku tygodniach rozgrzać zmarznięte członki, które wiatr świszcząc wskróś przejmuje. Za moich lat dziecięcych, miał mój ojciec futro, które go paradnie ogrzewało, gdybym był po jego myśli został kupcem, nie malarzem, mogłem je odziedziczyć. Widzisz chłopcze, wybawiłem cię od tego nieszczęścia, i jeżeli masz ojca który futro posiada, to może ci się jeszcze ono dostanie. A teraz spiesz się, przynieś drzewa!

Malec wzruszył ramionami z politowaniem. Drzewo, które odkradał studentom, ledwie jemu wystarczało.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kobieta w Rumunji.

Nigdzie może na gruncie europejskim stanowisko kobiety nie nosi na sobie cech tak wyróżniających jak w Rumunji.

Rumunka jest europejką i nią nie jest...

Pod względem powierzchowności, ułożenia, łatwości w obejściu i w ogóle wdzięku niewieściego walczyć ona śmiało może o pierwszeństwo z najwybrańszem gronem kobiet zachodu; wychowanie, wrodzona zdolność, instynkt, prawie sama intuicja, uposaża ją prędko w te wszystkie przymioty, które, jak kunsztowny fajerwerk olśniewając w pierwszej chwili, długo pod wpływem tego wrażenia utrzymują osoby do niej zbliżone.

Spotykałem tu kobiety warstw wyższych i skromnego bardzo stanowiska — wszystkie one posiadały wysokie przymioty towarzyskie, górując pod każdym względem nad mężczyznami, pozbawionymi prawie zupełnie tych zalet.

Rumunka wzięła od rzymianki klasyczne rysy południa...

Wiotka, subtelna celuje zręcznością ruchów, pociąga wdziękiem ułożenia; duże czarne oko nadaje jej fizjognomji dziwną ruchliwość, żywość zaś i swoboda prawdziwie francuzka stanowią dopełnienie wdzięcznej całości.

Pełna też dowcipu i finezji, a wolna od wszelkiej przesady, rumunka potrafi uczynić swe towarzystwo miłem i pożądanem — lecz jest to zarazem wszystko, czego od niej wymagać można.

Jest ona wspaniałym meblem — ozdobą, której się nie powstydzi najwytworniejszy salon — lecz niczem więcej.

To są cechy jej europejskości; nabyła je w części z wrodzonego usposobienia, w części zaś przejęła od wychowania, jakiemu od dzieciństwa poddaną została w klasztorach sakramentek i sercanek, gdzie zakonnice przeważnie francuzki z pochodzenia uczyniły wszystko w sferze możebności, ażeby powierzone swej pieczy dziewice wychować na szlachetne kobiety.

Że zadanie to pedagogiczne nie zostało uwieńczone pożądanym skutkiem, że nauczycielki, nadając bogatemu materjałowi zewnętrzną świetność, nie mogły zmienić gruntu, nie wina to kształcących, ale samych kształconych, — a raczej warunków, jakie dotykały i dotykają całe społeczeństwo, wśród którego one żyją.

Zła w spadku tradycja dostała się kobiecie rumuńskiej — za ostro wiał na nią wiatr od wschodu, za silnie oddziaływał duch koranu, którego prawa, jeszcze za niedawnego panowania tureckiego, odbijały się w jej życiu codziennem...

Rumunka rzadko bywa dobrą żoną, rzadko dobrą matką — a rzadziej jeszcze kapłanką strzegącą świętości domowego ogniska; rodzina jej nie wystarcza, kółko familijne nie nęci, gdyż wszystkie jej pragnienia gonią za życiem zewnętrznem za czczym pozorem, gdzie szych uchodzić może za złoto, a chwilowa uciecha zapełnia próżnię bezcelowego jutra.

Wystawa, blask, morze światła i błyskotek są Edenem dla owych cór bohaterskich Daków i rzymskich wygnańców.

Zanim Europa dotknęła jeszcze kwestji emancypacji kobiecej — rumunki już do niej przylgnęły, biorąc w znaczeniu tem, jakie najlepiej do gustu im przypadało.

Nie szukały one w emancypacji ułatwienia środków do życia, lub rozszerzenia praw obywatelskich, lecz pragnęły tylko wyzwolenia z krępujących więzów — szukały tej swobody, która jest nawet przestępczą w mężczyźnie od chwili, gdy stał się ojcem rodziny.

Przedewszystkiem związek małżeński w charakterze sakramentalnym zaciężył kobiecie rumuńskiej; małżeństwo cywilne weszło na porządek dzienny i dziś znaczna część ludności kojarzy się tylko na mocy aktu spisanego w kancelarji komisarza, nie szukając potwierdzenia i błogosławieństwa kościoła.

Smutno powiedzieć, że i to odstępstwo wydało się rumunom jeszcze zbyt ciasnem i niewystarczającem, a moralność jej schodząc szczebel po szczeblu spadła tak nisko, iż wyjątkowe są prawie w tem społeczeństwie kobiety, dla których poszanowanie godności osobistej i poczucie obowiązków pozostało cnotą niewieścią.

Sama kwestja ułatwienia rozwodu, podniesiona obecnie tak gorąco w Rumunji, jest niczem więcej, jak jednym ze środków ratunku, które zdrowiej myśląca część społeczeństwa chce przeciwstawić rozluźnieniu obyczajów i upadkowi moralności.

Kwestja ta teoretycznie dotąd na zachodzie traktowana znajdzie wkrótce zastosowanie praktyczne w Mołdawji i Wołoszczyźnie.

Rumunka lubi świecidła; wschodni ten pociąg do wszystkiego, co błyszczy, stanowi prawie jej cechę narodową.

Jeśli w teatrze z lóż parterowych i pierwszego piętra iskrzą się promienie brylantów, jeśli przy kosztownych strojach paryskich widzieć można bajecznej nieraz ceny garnitury drogich kamieni — upodobanie to dam arystokratycznego koła podzielają kobiety klas wszystkich, aż do karczmarki sprzedającej na litry wino, niemal aż do pasterki pasącej — kozy.

Kiedyś wstąpiłem do magazynu jubilerskiego w Bukareszcie.

W chwil kilka po mnie wszedł tam chłop rumuński w obcisłych góralskich pantalonach i krótkim spencerku.

Z niemałem zadziwieniem spostrzegłem iż jubiler, pozostawiwszy mnię na uboczu z całą skwapliwością zwrócił się ku nowo przybyłemu.

Lecz o ileż podziw mój wzróść musiał, skoro niepokaźny chłopek zażądał garnituru brylantów wartości około tysiąca franków.

— Czy to posłaniec od kogo? — pytam jubilera.

— A! nie zna pan obyczajów rumuńskich — odpowiada, uśmiechając się właściciel magazynu.

— No, przecież ten poczciwiec chyba nie dla siebie wybierze tak drogie rzeczy?

— Zapewne, że nie dla siebie... ale dla swej żony.

Nie mogłem jakoś dać temu wiary.

— Zaręczam panu — upewnia mnie serjo jubiler — to nasi główni i najlepsi klienci; chłopak ten, to bogaty handlarz zbożowy, a choć ubiera się w obcisłe pantaljony i krótki spencer, nie przeszkadza to jego żonie chodzić w materjach i nosić brylanty.

To też i miłość kobiety rumuńskiej mierzy się skalą możności dostarczenia jej przez małżonka większej lub mniejszej ilości... brylantów.

Z pociągiem do świecideł i błyskotek łączy się w Rumunji dość oryginalny zwyczaj strojenia w złoto panny młodej.

Przy ubiorze weselnym oblubienica przypina nad welonem rodzaj drugich włosów ze złota, które spadając od głowy aż do ogona sukni, niby jedną strogą okalają całą postać panny młodej.

Ilość i jakość złota względną jest naturalnie od bogactwa stroju; zwyczaj ten wszakże tak jest ogólnie przyjętym, iż w sąsiedniej Austrji istnieją fabryki wyłącznie wyrobowi tego rodzaju złota poświęcone.

Rumunki, jak wszystkie kobiety południa, prędko się starzeją; często kobieta w dwudziestu kilku latach życia jest już zupełnie steraną, przedwczesna wszakże starość spostrzega się przeważnie w klasach zamożniejszych.

Prawdziwie piękne typy daje mieszczaństwo i lud wiejski i obie te sfery utrwaliły słusznie Rumunkom sławę piękności.

Piękność ta, a właściwie wyższość ukształcenia umysłowego i towarzyskiego, wyzwoliły całkowicie kobietę rumuńską z pod wpływu mężczyzny — co tem więcej jest rażącem przy zestawieniu rumunki z sąsiednią jej niewiastą bułgarską.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.